

28 dni w Raciborzu

Jesienne wieczory, długie i szare sprawiają, że człowiek zaczyna rozmyślać, wspominać. Czasem bierze do ręki pióro i zaczyna pisać. Piszemy dla siebie, a także chcąc podzielić się z drugim człowiekiem tym, co nam w duszy gra, przeżywaliśmy, czego byliśmy świadkami. Pytanie – Czy ktoś będzie chciał to przeczytać?

Przeglądając strony internetowe, trafiłam na konkurs literacki. Temat, miasto Racibórz. Wraz z tą nazwą odżyły wspomnienia z lat młodości, a serce zaczęło mocniej bić. Od razu pomyślałam o moich wakacjach z 1986 roku. Była to praca połączona z odpoczynkiem, a wszystko to, w ramach Ochotniczych Hufców Pracy. Zaczęłam w myślach szukać mojej obecności w tym, mieście. Wiedziałam, że w albumie są dwa zdjęcia z tego wyjazdu, - ale czy coś jeszcze? Tak, bo ja tak mam, że lubię zostawiać rzeczy, które coś dla mnie znaczyły i znaczą. Moje tekturowe pudełko skrywa wiele tajemnic. To właśnie tam odkryłam moją pierwszą umowę o pracę, o której już dawno zapomniałam. Mogłam na nowo zaglądnąć do mojego pamiętnika, który wówczas pisałam, przejrzeć listy pisane do rodziców z Raciborza. Przeczytać po latach słowa kierowane do mamy i taty, których już nie ma obok mnie, to wydarzenie niemające sobie równych. Otwierasz już pożółkłą kopertę sprzed 37 lat i czytasz „Jest mi tu dobrze”. Nie było telefonów, Internetu, ale były listy i kartki. Tak, jak pisałam w listach, było mi tam dobrze. W małym skrócie przedstawię Wam historię 28 dni. Zaproszę do miejsc, których już nie ma (sprawdziłam na stronach internetowych), choć w mojej pamięci mają się całkiem dobrze.

Podróż pociągiem

Wiosną 1986 roku w moim liceum w Bieczu, do którego uczęszczałam, usłyszałam o możliwość zapisu na obóz zarobkowy, organizowany przez Ochotniczy Hufiec Pracy. Praca fizyczna w przetwórstwie owocowo-warzywnym w Raciborzu. Od razu zaczęłam poważnie zastanawiać się nad wyjazdem. W pierwszej kolejności pomyślałam o przygodzie, odpoczynku, nowych doświadczeniach, przyjaźniach. W drugiej kolejności o pracy, a w trzeciej o finansach. Żyliśmy bardzo skromnie, rodziców nie stać było na zapewnienie nam (mam jeszcze siostrę i brata) odpoczynku, wyjazdu w ramach wakacji. Cały miesiąc poza domem, w obcym mieście, w towarzystwie koleżanki ze szkolnej ławki wydawał się bardzo kuszący. Tak myślałam ja. Moi rówieśnicy wręcz przeciwnie. Z mojej klasy zdecydowały się jeszcze dwie osoby, a ze szkoły zaledwie kilka. W sumie dobrano jeszcze kilka uczestników ze szkoły w Trzcinicy.

Tak stworzyliśmy trzynastoosobową grupę samych dziewczyn, plus nauczycielka języka niemieckiego jako nasza opiekunka. A, tak, nawiasem mówiąc, ostatnio jak z nią rozmawiałam, o tym wyjeździe (myślałam, że może dysponować jakimiś zdjęciami), to stwierdziła, że Racibórz kojarzy się jej tylko z hotelem i robótkami na drutach. W przeciwieństwie do nauczycielki ja przeżyłam super wakacje.

W latach 80. ubiegłego wieku podróż pociągiem nie należała do łatwych i przyjemnych, a przecież musieliśmy dojechać na czas do Raciborza. Wykupienie miejscówek nie było możliwe, a na bilety w pierwszej klasie po prostu nie było nas stać. Większość podróżujących zajmowała wagony klasy drugiej. Osób chętnych na przemieszczanie się tym środkiem lokomocji było zawsze dużo, o miejscach siedzących mogliśmy tylko pomarzyć. Moją podróż rozpoczęłam w Jaśle, gdyż w tym mieście wówczas mieszkałam. Część osób wsiadło po drodze, pozostałe osoby i opiekunka dołączyły do nas w Bieczu. Kto jeździł koleją w tamtym okresie, może sobie wyobrazić, jak ona przebiegała. Wszyscy stłoczeni, praktycznie jeden przy drugim, tylko nieliczni szczęśliwcy na siedząco. Drogę do Krakowa, w nocnym pociągu przestałyśmy na korytarzu z nosami przy szybie i nadzieją na fajne wakacje. Na głównej stacji Kraków przesiadłyśmy się na pociąg do Katowic. Trochę już zmęczone marzyłyśmy o miejscach siedzących, ale nic z tych rzeczy. Dopiero druga przesiadka z Katowic do Rybnika zapewniła nam miejsca siedzące. Ostatnia trzecia z Rybnika do Raciborza też mile nas zaskoczyła, jak również ciepły sierpniowy poranek w mieście, do którego podróżowaliśmy całą noc. Pamiętam, że zapowiadał się ciepły dzień. W Hotelu Robotniczym „Rafako” przy ul. Kościuszki 38, w którym miałyśmy spędzić najbliższy miesiąc, drzwi czekały na nas otwarte. Mieszkałyśmy na trzecim piętrze w dwu, trzyosobowych pokojach z łazienkami. Jak pisałam w liście do mojej mamy „Pokoje są czyste, łazienki to samo, jest ciepła woda. Mieszkam w dwójce z moją koleżanką Haliną”. Pierwsze wrażenie dało mi nadzieję, że będzie to dobry czas.

Pierwszy dzień w pracy

4 sierpnia 1986 rok podpisałam swoją pierwszą umowę o pracę w ramach Ochotniczego Hufca Pracy. Moim pracodawcą na 28 dni zostało Przedsiębiorstwo Przetwórstwa Spożywczego „Prodryn” w Raciborzu. Stanowisko pracy – produkcja kompotów i ogórków konserwowych. Stawka płacy zasadniczej – wynagrodzenie 55zł/godz. – akord zespołowy. Miałyśmy pracować w systemie dwuzmianowym, od poniedziałku do soboty. Pierwsza zmiana

od godz. 6:00 do 14:00, druga od 14:00 do 22:00. Podzieliliśmy się na dwie grupy. Znalazłam się w zespole, który swoją przygodę z owocowo-warzywną linią produkcyjną rozpoczynał o godz. 14:00. Do pracy dojeżdżaliśmy miejskim autobusem spod hotelu, około 5-7 km. W pierwszym dniu przywitano nas „białymi” fartuchami (do bieli to im było daleko, ale były czyste), żółtymi fartuchami gumowymi, zakładanymi na wierzch. Dostałyśmy również obuwie zastępcze w postaci czarnych gumowców oraz paradne czepki, pod którymi miałyśmy schować włosy. Śmiechu było co niemiara, szybko jednak przyzwyczaiłyśmy się do naszych nowych strojów. Przed wpuszczeniem nas na linię produkcyjną zrobiono zebranie, a właściwie udzielono nam szybkiego szkolenia w ramach BHP. Poinstruowano nas jak mamy się poruszać po terenie zakładu, jakich słuchać poleceń, czego dotykać, a czego nie itp. Muszę szczerze napisać, że nikt z nas nie wsłuchiwał się w to, co chciała nam przekazać jedna z pracownic. Cieszyłyśmy się jednak, że możemy tego wszystkiego słuchać, siedząc. Traktowałyśmy to, jak zbędne dane, które się nie przydadzą. Nic bardziej mylącego, o czym niejednokrotnie przekonaliśmy się, wykonując pracę. Po dłuższej chwili mogliśmy rozpocząć naszą owocowo-warzywną przygodę.

Pierwsze zadanie polegało na poszatkowaniu cukinii (robiła to na szczęście maszyna), przeniesieniu jej do dużej wanny, dodaniu przypraw i ręcznym wymieszaniu wszystkiego. Na drugim stanowisku myte były małe słoiczki, do których wkładałyśmy cukinię. Słoiki były ważone, a następnie układane na taśmę, zalewane ręcznie przygotowaną zalewą i zakręcane pokrywkami. Tak przygotowane układałyśmy w koszach, które odwożono do pasteryzacji. Procesem tym zajmowały się starsze, doświadczone pracownice. Pracowałyśmy w siódmkę i jak na pierwszy raz wyrobiłyśmy 100% normy z nawiązką, przynajmniej tak nam powiedziano. Pomimo zmęczenia szczęśliwie wróciłyśmy do hotelu po godz. 22. Tak z perspektywy czasu myślę, że wykonywana przez nas praca do lekkich nie należała, 8 godz. w pozycji stojącej i moczenie rąk w zimnej wodzie nie było przyjemne. Mając jednak 17 lat, nie myślałam o tym wiele.

Czas wolny między pracą

Pokój w hotelu dzieliłam z moją koleżanką z klasy Haliną. Pokoiki jak na lata 80. XX wieku były całkiem przyjemne, choć może mając naście lat, nie zwraca się uwagi na wiele rzeczy. Zajmowałam łóżko pod oknem. O ile pamiętam, w budynku nie było windy. Codziennie kilkakrotnie musiałyśmy wchodzić i schodzić z trzeciego piętra, to na stołówkę,

do pracy, na miasto czy też basen. Dla mnie osoby, która na co dzień mieszkała w rodzinnym mieście na czwartym piętrze, nie stanowiło to większego problemu. Miło wspominać panie ze stołówki. Na śniadania (w przypadku drugiej zmiany), które były do godz. 8:00 spóźniałyśmy się notorycznie. Kucharki z początku trochę na to narzekały, ale później się przyzwyczyły, a nawet nas polubiły. Często dostawałyśmy dodatkowy dżemik, czy słodką bułeczkę. Były to jeszcze czasy kartek, trudności z zaopatrzeniem, przy jedzeniu nie marudziłyśmy jednak wcale. Było smaczne. W przypadku pierwszej zmiany dostawałyśmy gotowe zapakowane kanapki, które zjadałyśmy na przerwie śniadaniowej w zakładzie pracy.

Dodatkową niespodzianką dla nas wszystkich był kompleks basenów znajdujących się tuż za budynkiem hotelu na ul. Bema. Tak, o tym pisałam w liście – „trzy przysłowiowe kroki i basen”. Z racji tego, że umiałam i lubiałam pływać perspektywa spędzania wolnego czasu w wodzie, bardzo mnie ucieszyła. Dobrze, że w naszych plecakach znalazły się stroje kąpielowe. Woda w basenie, do którego pobiegłyśmy już pierwszego dnia, była czysta i zachęcała do kąpieli. Na cały kompleks składały się trzy baseny: brodzik, średni dla osób nieumiejących pływać i duży dla pływaków. Byłam zaskoczona wielkością basenów, porównując je z tymi, na których przebywałam w rodzinnym mieście Jaśle. Musiałyśmy też kupować bilety, ale o ile sobie przypominam, nie był to zbyt duży koszt. Każdy wolny czas, gdy świeciło słońce i było ciepło, spędzaliśmy na kąpaniu i opalaniu. Gdy napisałam w liście o takich udogodnieniach, jakie tu mamy to, moja siostra w odwecie odpisała – „z tej pracy to Ty przyjedziesz opalona i wypoczęta”. Po części miała rację, byłam opalona, ale i zmęczona. Zmęczenie jednak rekompensowała młodość i moja wakacyjna miłość, o której już nie pisałam do rodziców.

Wraz z nami na terenie hotelu przebywali inni pracownicy (choć nie było ich zbyt wielu) oraz drugi obóz OHP z Białegostoku. W większości była to grupa składająca się z chłopaków, w naszym wieku. Nie pamiętam, do jakiego zakładu pracy przyjechali, w tamtej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. O wiele większą uwagę przykładaliśmy do tego, że będziemy miały towarzystwo. Cały miesiąc w pracy, w której nie mogłyśmy leniuchować (praca zespołowa) i czas odpoczynku, przygody, o której chyba większość z nas marzyła. Chłopcy z Białegostoku okazali się otwartymi młodymi ludźmi, łatwo nawiązujący znajomości. Oni byli pierwsi w hotelu, a więc pojawienie się trzynastoosobowej grupy dziewcząt było wydarzeniem, które odbiło się szerokim echem. Spędzaliśmy wspólnie wolny czas. Głównie chodząc na basen, a gdy pogoda nie dopisywała, to na spacerach po mieście, chodziliśmy do kina,

czy wspólnie urządzali dyskoteki w stołówce. Tworzyły się wakacyjne przyjaźnie, które później zweryfikowała odległość. Oni z północy Polski, my z południa.

Praca, praca...

W moim pamiętniku napisałam: „Pracujemy na okrągło przy produkcji ogórków konserwowych. Ogórki wychodzą mi już „bokiem”, a przecież tak je, lubiłam. Słoiki litrowe, praca przy taśmie, wszystkie jednej wielkości, ładne pokrywki – taki zestaw idzie na eksport. Przygotowujemy również trzy litrowe słoje. Tworzymy zespół, myjemy słoje (w zimnej wodzie), wsypujemy przyprawy, ogórki, zalewamy przygotowaną zalewą i odwozimy w koszach do pasteryzacji. W pracy mamy majstra, z którym daje się wytrzymać, choć nie raz gada od rzeczy, niby nas mobilizując do szybkiego wykonywania naszych czynności. Następna osoba to nasza brygadystka – bardzo fajna, miła pani, która często nam pomaga, pokazuje, jak i co mamy robić. Potem to zwykli pracownicy jak: Brygida, Baśka, Kornelia, Krystyna i inne. Pracują z nami również dziewczyny mieszkające w Raciborzu, które zatrudniły się tu na sezon: dwie Iwony, Ola, Renata, która zaprosiła nas do swojego domu”. Będąc w pracy, początkowo nie mogliśmy zrozumieć naszej brygadystki i pozostałych pracowników, większość mówiła śląską gwarą. Było trochę śmiechu: dekiel - pokrywka, warzić – gotować, klupać – pukać, kierdel – kawałek, krauza – słoik, kisznioki – duże ogórki, kiblik – wiaderko, kaj – gdzie itp. Pierwszy i ostatni raz mogłam widzieć ogromne beczki, w których kiszono kapustę. Nie był to jeszcze sezon, więc dopiero je przygotowywano. Pracownik wchodził do tych wielkich beczek w gumowcach z zestawem szczotek i wężem z bieżącą wodą, by wyszorować boki i dno. Nie wykonywałyśmy tego zajęcia, ale mogliśmy się temu przyglądać. Były też mniejsze beczki pełne owoców, z których miał powstać dżem. Po podniesieniu dużej pokrywki mogliśmy zobaczyć owoce. Nas jednak zatrudnili do ogórków, bo taki był sezon. Pracowałyśmy od poniedziałku do soboty. W soboty chłopcy z Białegostoku organizowali dyskoteki i muszę tu napisać, że nasza opiekunka stanęła na wysokości zadania i drugiej zmianie załatwiła godziny pracy od 10:00 do 18:00. W takim dniu praca „paliła się” nam w rękach, każda z nas myślała o tym by jak najszybciej wybiła godzina wyjścia.

Wycieczki

Wyjazd do Chorzowa zasponsorował nam zakład pracy. Zarówno nasza grupa, jak i chłopcy z Białegostoku pojechaliśmy w niedzielę, to był jedyny dzień wolny od pracy. Wiele słyszałam o wesołym miasteczku w Chorzowie, mogłam zweryfikować moje informacje.

Wszyscy jechaliśmy w jednym kierunku, ale dwoma środkami lokomocji. Młodzież z Białegostoku na miejsce dotarła autokarem, który dał im, ich pracodawca. Nasza grupa tradycyjnie pociągiem. Podróż miałyśmy z przygodami, nie zdążyłyśmy na przesiadkę z Katowic do Chorzowa. Jednak do celu dotarłyśmy zatłoczonym tramwajem, który zatrzymywał się praktycznie pod samą bramą wejściową do wesołego miasteczka. Kupiłyśmy bilety, nasza opiekunka wygłosiła krótkie „przemówienie”, ile mamy czasu wolnego, aby zachować wszystkie bilety z obiektów, na których będziemy i odpowiednim zachowaniu, by nie musiała się za nas wstydić. To był udany dzień dla nas wszystkich, pełen wrażeń. Począwszy od cyganek, które nagabywały nas tuż przy bramie wejściowej. Ich wróżby wiązały się z wydawaniem pieniędzy, na szczęście nie dałyśmy się na to nabrać, choć pozbyć się ich było bardzo trudno. Spotkałyśmy również żołnierzy na przepustce, którzy nas zaczepiali i zaprosili na karuzelę. Jednak najlepiej bawiłyśmy się w towarzystwie naszych rówieśników z Białegostoku. Utkwiła mi w pamięci sala luster, w której śmialiśmy się wszyscy prawie do łez. Do hotelu wróciłyśmy późnym wieczorem, zmęczone, ale bardzo zadowolone. Będąc w Raciborzu, miałam okazję być jeszcze na jednej wycieczce organizowanej przez OHP z Białegostoku. Celem były Sudety, a tu Błędne Skały, jak również Kudowa Zdrój, Szczawno-Zdrój, Wambierzyce i Kaplica Czaszek. Z naszej grupy pojechałam tylko ja i moja koleżanka Bożena. Cała wycieczka to niezapomniany czas, po którym pozostało mi jedno zdjęcie. Młodzi ludzie przy słupie granicznym z uśmiechami od ucha do ucha, a w tle pogranicznik z psem. Ta chwila na nowo odżyła w mojej pamięci.

Miasto, kino, spacer

Kino „Bałtyk” – tam chodziliśmy w czasie brzydkiej pogody. Nie pamiętam jednak żadnego tytułu filmu, a i salę kinową jak przez mgłę. Nie zapisałam też wiele na ten temat w pamiętniku. Mieliśmy ładną pogodę i chyba tu tkwi przyczyna. Do rodziców, o Raciborzu pisałam – „miasto bardzo mi się podoba, jest tu ładnie, czysto, dużo jest parków, zieleńców”. W naszych rejonach sklepy straszyły brakiem towaru, a tu spotkałyśmy się z miłą niespodzianką – „zaopatrzenie w artykuły spożywcze, jak i przemysłowe bardzo dobre, lecz wszystko znacznie droższe. Fajne są swetry, jednak w takiej cenie!, że ... muszę to przemyśleć. Jedynie sklepy obuwnicze świecą pustkami”. Po dostaniu wypłaty, w ostatnim dniu pracy szybko pobiegłam, by nabyć sweter, który wcześniej wypatrzyłam. Cieszyłam się bardzo, rodziców nie byłoby stać na taki zakup, chodziłam w nim bardzo, bardzo długo. Przypominał mi piękne chwile w Raciborzu. Miał żółty kolor i brązowe gwiazdki. Kupiłam również małego

białego słonika, na szczęście, któremu odpadła już trąba, ale gdzieś tam jest na dnie pudełka. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, lubiliśmy spacerować po parku tuż obok hotelu. Często bywaliśmy na ulicy Długiej, przemierzając ją raz w jedną, to znów w drugą stronę. Gdy się ma 17 lat i wakacyjną miłość tuż obok, to czas, odległość schodzi na dalszy plan. Pamiętam burzę, taką z piorunami i mocnym deszczem. Zamiast ją przeczekać, to jak szaleni biegliśmy ulicami przed siebie. Nie zapomnę spojrzenia piwnych oczu wpatrzonych we mnie, ciepłego dotyku dłoni trzymających mocno moją dłoń, ust uśmiechających się tylko do mnie.

Stare fotografie, listy, kartki, drobne pamiątki – dobrze, że są takie pudełka skrywające te skarby. Moja wakacyjna miłość nie przetrwała. Odległość zrobiła swoje. Nawiązała się jednak przyjaźń z koleżanką, z którą na tamtym wyjeździe mało rozmawiałam. Była z innej szkoły, mieszkała w małej wiosce. Początkowo pisałyśmy do siebie listy, a potem znajomość przerodziła się w przyjaźń, która trwa do dziś.

28 dni w Raciborzu to czas, który był i jest w moje pamięci. Nie ma już Przedsiębiorstwa Przetwórstwa Spożywczego „Prodryn” w Raciborzu, nie ma już kompleksu basenów przy ulicy Bema, nie ma hotelu „Rafako”, choć hotel jest w tym miejscu, lecz pod inną nazwą. Pozostały jednak ulice, którymi kiedyś spacerowaliśmy. Dziś też, tak, jak my spacerują nimi młodzi i nie tylko, młodzi ludzie ze swoimi marzeniami.

Anna Szurek